

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Czasem człowiek ogląda się za siebie.

On wychodził, ja wchodziłam. Minęliśmy się, jak setki ludzi mijają się każdego dnia, i w tej krótkiej chwili zarejestrowałam grzywę ciemnych potarganych włosów oraz błysk ciemnych oczu. Dostrzegłam też bojówki w kolorze khaki i czarny T-shirt z długimi rękawami, a na koniec to, że facet jest wysoki i ma szerokie barki. Po paru sekundach byłam już świadoma jego istnienia. Okręciłam się na pięcie i odprowadzałam go spojrzeniem, dopóki nie zamknęły się za mną drzwi Nakrapianej Ropuchy.

– Mam poczekać?

– Co takiego? – Spojrzałam na Kirę, która zdążyła już wejść do sklepu. – Na co?

– Aż wrócisz z pogoni za tym facetem, przez którego niemal doznałaś kontuzji szyi. – Rozbawiona machnęła ręką w jego kierunku.

Zniknął już jednak, nie widziałam go nawet przez szybę.

Znałam Kirę od dziesiątej klasy, kiedy to zbliżyłyśmy się do siebie ze względu na uczucie do Todda Browninga, chłopaka ze starszej klasy. Wtedy sporo nas łączyło, między innymi okropne fryzury, beznadziejny gust i skłonność do nadużywania czarnego eyelinera. W szkole byłyśmy przyjaciółkami, teraz jednak nie byłam pewna, czy mogłabym użyć tego słowa.

– Zamknij się. – Ruszyłam w głąb sklepu. – Ledwie go zauważyłam.

– Skoro tak twierdzisz. – Kira zawędrowała do półki z tandetą, której nie wzięłabym za darmo. Uniosła pluszową żabę z sercem w łapach. A na sercu był migotliwy napis MAMA. – Może to?

– Bardzo gustowne, ale nie, dziękuję, i nie każ mi mówić, dlaczego. Chociaż trochę mnie kusi, żeby kupić jej coś w tym rodzaju. – Odwróciłam się do półki z porcelanowymi klaunami.

– Chryste, nie tknęłabym tego nawet kijem. Kup koniecznie. – Kira parsknęła śmiechem.

Mnie też to rozbawiło. Próbowałam znaleźć odpowiedni prezent urodzinowy dla żony ojca. Baba za żadne skarby nie chciała zdradzić swojego wieku i co roku obchodziła dwudzieste dziewiąte urodziny. Mówiła o tym z porozumiewawczym uśmiechem, no i, rzecz jasna, absolutnie nie wzbraniała się przed drogimi podarunkami. Niestety jak do tej pory nic, co dostała ode mnie, nie wywarło na niej wrażenia, uparłam się jednak, że wreszcie wręczę jej idealny prezent.

– Gdyby nie były takie drogie, pewnie bym kupiła. Przecież zbiera te różne porcelanowe duperele z Limoges. Francuskie, rozumiesz. Jest więc nadzieja, że spodoba się jej taki klaun. – Dotknęłam parasola balansującej na linie paskudy.

Kira parę razy spotkała Stellę, ale nie przypadły sobie do gustu.

– Jasne – odparła. – Idę przejrzeć czasopisma.

Nie przestając szukać, wymamrotałam coś pod nosem. Miriam Levy, właścicielka Nakrapianej Ropuchy, sprowadzała rozmaite ozdobne przedmioty, ale nie dlatego tu trafiłam. Po prezent dla Stelli mogłam pójść dokądkolwiek. Pewnie zachwyciłby ją bon podarunkowy do Neimana Marcusa, nawet gdyby kręciła nosem na skromną kwotę. Nie przyszedłam do sklepu Miriam po porcelanowe klauny ani nawet nie dlatego, że znajdował się nieopodal Riverview Manor, gdzie mieszkałam.

Nie. Przyszedłam do sklepu Miriam po papier.

Pergamin, ręcznie wycinane kartki okolicznościowe, zeszyty, notatniki z papieru doskonałej jakości, cienkiego niczym bibułka, papeterie, na których należało pisać wiecznym piórem, i grube solidne kartoniki, które mogły znieść każdą torturę. Papier we wszystkich kolorach i rozmiarach, każdy jedyny w swoim rodzaju, unikatowy, idealny do pisania listów z wyznaniem miłości albo zawiadomieniem o zerwaniu, a także kondolencji i poezji.

I ani jednej ryzy zwykłego białego papieru do drukarki. Miriam nigdy by nie zamówiła czegoś aż tak pospolitego.

Mam lekkiego świra na punkcie artykułów papierniczych. Zbieram papier, pióra, kartoniki. Wpuśćcie mnie do sklepu z artykułami biurowymi, a spędzę tam mnóstwo czasu i wydam więcej niż typowa kobieta na buty. Uwielbiam zapach dobrego atramentu na kosztownym papierze, Kocham trzymać w palcach ciężkie czerpane arkusze. Przede wszystkim jednak ubóstwiam białą, pustą kartkę, która dopiero czeka na zapisanie. Zanim stalówka dotknie papieru, wszystko może się zdarzyć.

Najbardziej w Nakrapianej Ropusze podoba mi się to, że Miriam sprzedaje papier na sztuki, opakowania i ryzy. Moja kolekcja składa się między innymi z czerpanego kremowego papieru ze znakami wodnymi, ręcznie wyrabianych arkuszy z miazgi kwiatowej, ozdobnych kartoników z wycinankami. Mam ciężkie i lekkie wieczne pióra w każdym kolorze. Większość z nich była niedroga, ale coś – może kolor atramentu albo oprawki – wywarło na mnie wrażenie. Od lat zbieram papiery i pióra w antykwariatach, na wyprzedażach i sklepach ze starzyzną. Odkrywszy Nakrapianą Ropuszę, poczułam się tak, jakbym odnalazła mój prywatny raj.

To, co kupuję, zawsze zamierzam wykorzystać na coś ważnego, coś wartościowego. Piórem, które idealnie leży w dłoni, chcę pisać listy miłosne, przewiązywać je karmazynową wstążką i pieczętować lakiem. Kupuję i Kocham papier, jednak rzadko na nim piszę. Nawet anonimowe listy miłosne wymagają odbiorcy, a ja nie jestem zakochana.

Zresztą kto w dzisiejszych czasach pisze na papierze? Komórki, SMS-y i internet sprawiły, że sztuka epistolograficzna niemal odeszła do lamusa. A jednak to w ręcznie napisanym liście tkwi potężna siła. Taki list to coś osobistego, potencjalnie głębokiego, coś więcej niż nabazgrana w pośpiechu lista zakupów albo parafka na pocztówce z nadrukowanym tekstem. To coś, czego zapewne nigdy nie napiszę, pomyślałam, dotykając jedwabistej krawędzi wytłaczanej papeterii w stylu epoki wiktoriańskiej.

– Cześć, Paige, co słyhać?

Ari, wnuk Miriam, przełożył paczki na podłogę, na moment zniknął z pola widzenia i znowu się objawił, wyskakując zza lady niczym klaun z pudełka.

– Skarbie, następna partia dla ciebie. – Miriam wyłoniła się zza oddzielającej zaplecze kotary i zerknęła na wnuka. – Zajmij się tym od razu, a nie po dwóch godzinach, jak ostatnio.

Ari przewrócił oczami, ale wziął od niej kopertę i ucałował babcię w policzek.

– Dobrze, bunia.

– Grzeczny chłopiec. – Miriam oderwała od wnuka czułe spojrzenie i popatrzyła na mnie. – Paige, czym mogę ci służyć?

Jak zawsze była nienagannie umalowana i uczesana. Innymi słowy, stuprocentowa dama. Ma co najmniej siedemdziesiąt lat i klasę, której tak bardzo brakuje wielu kobietom, niezależnie od wieku.

– Szukam prezentu dla żony ojca.

– Hm... – Lekko przechyliła głowę. – Na pewno znajdziesz coś idealnego, ale jeśli potrzebujesz pomocy, daj znać.

– Dziękuję. – Wpadałam tu często, więc dobrze wiedziała, jak bardzo lubię myszkować po sklepie.

Po dwudziestu minutach, które spędziłam na oglądaniu i głaskaniu nowej dostawy papieru oraz kosztownych piór – niestety, nie na moją kieszeń – Kira znalazła mnie na tyłach sklepu.

– No dobra, Indiana Jones, czego szukasz? Zaginionej arki? – burknęła.

– Będę wiedziała, kiedy to zobaczę.

Gdy spiorunowałam ją wzrokiem, przewróciła oczami, po czym zaproponowała:

– Chodźmy do centrum handlowego. Wiesz, że Stella ma w nosie twój prezent.

– Ale ja nie mam go w nosie. – Nie potrafiłam wyjaśnić, jakie to dla mnie ważne. Wcale nie chciałam zaimponować Stelli, przecież wiedziałam, że nigdy mi się to nie uda, zależało mi jednak na tym, by jej nie rozczarować. Nie chciałam, by zyskała dowody, że nie myliła się co do mnie. Tylko tego pragnęłam – żeby nie miała racji.

– Wiesz, że czasem jesteś koszmarnie uparta?

– To się nazywa determinacja – mruknęłam, po raz ostatni spoglądając na półkę przed sobą.

– Nieprawda. To się nazywa ośli upór, choć tak bardzo próbujesz temu zaprzeczyć. Poczekam na zewnątrz.

Nawet nie podniosłam wzroku. Kira z natury była niecierpliwa, dlatego nieraz trudno było wytrzymać z nią w sklepie, ale za długo odkładałam kupno prezentu dla Stelli. Od przeprowadzki z rodzinnego Lebanon do Harrisburga rzadko widywałam Kirę. Szczerze mówiąc, przedtem też rzadko się widywałyśmy. Kiedy zadzwoniła, żeby spytać, czy chcę się spotkać, nie byłam w stanie wymyślić żadnej przekonującej wymówki.

Uznałam, że z przyjemnością wypali papierosa albo nawet dwa, czekając na mnie, więc ponownie skupiłam się na poszukiwaniach. Musiałam znaleźć odpowiedni prezent.

Po latach odkryłam, że sam prezent niekoniecznie musiał wzbudzić aprobatę Stelli. Chodziło o coś mniej konkretnego niż cena. Ojciec dawał jej wszystko, czego sobie zażyczyła, a jeśli nie dostała czegoś od niego, kupowała to sobie sama. Innymi słowy, nie sposób było podarować jej coś, co mogłoby się jej przydać. Gretchen i Steve, dzieci ojca z pierwszego małżeństwa, szły na łatwiznę i wykorzystywały własne dzieci do tworzenia prezentów w rodzaju namalowanej urodzinowej kartki. Dwaj synowie Stelli wciąż byli zbyt mali, żeby się przejmować urodzinami matki. Mojemu przyrodniemu rodzeństwu uchodziło płazem chodzenie na skróty, ode mnie jednak oczekiwano więcej.

Z drugiej strony, gdy stawia się nam wysokie wymagania, to wcale nie jest to pozbawione pewnych korzyści.

Rozglądałam się uważnie, zastanawiając się, co idealnie pasowałoby do Stelli. Wcale nie twierdzę, że żona ojca jest złym człowiekiem. Co prawda nigdy nie dokładała starań, abym poczuła się przynależna do rodziny, jak Gretchen i Steven, i na pewno nie byłam dla niej równie ważna jak jej synowie Jeremy i Tyler, jednak w przeciwieństwie do mnie moje przyrodnie rodzeństwo albo mieszkało, albo nadal mieszka z naszym ojcem.

Nagle zobaczyłam idealny prezent. Zdjęłam pudełko z półki i je otworzyłam. W środku były błękitne kartoniki zawinięte w ciemnoniebieską bibułkę. W prawym dolnym rogu każdego kartonika lśniło stylizowane S otoczone wianuszkiem subtelnie połyskujących gwiazdek. Na kopertach widniał identyczny gwiazdzisty motyw, a papier przetykany był srebrnymi nitkami, które błyszczały w świetle. W komplecie znajdowało się również wieczne pióro. Wyjęłam je. Było bardzo lekkie, a przez maleńki frędzelek na końcu wyglądało banalnie, by nie powiedzieć, że tandetnie, ale przecież nie kupowałam go dla siebie. Doszłam do wniosku, że idealnie nadaje się do wymanikiurowanych palców, które będą wypisywały bileciki z podziękowaniami, a zamiast kropek nad literką „i” rysowały serduszka.

Miałam idealny prezent dla Stelli.

– A więc coś znalazłaś. – Miriam wyjęła pudełko z moich rąk i ostrożnie odlepiła cenę. – Doskonały wybór. Na pewno jej się spodoba.

– Mam nadzieję. – Naprawdę tak sądziłam, ale nie chciałam zapeszyć.

– Zawsze wiesz, czego potrzeba innym, prawda? – Uśmiechając się przyjaźnie, wsunęła pudełeczko do ładnej torebki. Dodała też ozdobną kokardę.

– No, nie jestem pewna. – Też się uśmiechnęłam, ale był to nikły uśmiech.

– Owszem – oznajmiła stanowczo. – Dobrze pamiętam klientów, zwracam na nich uwagę. Wielu przychodzi tutaj po coś, czego nie znajduje. Ty zawsze znajdujesz.

– Co jeszcze nie znaczy, że znajduję to, co trzeba – oświadczyłam, płacąc nowiutkimi banknotami, prosto z bankomatu.

– Czyżby? – Miriam popatrzyła na mnie wymownie.

Nie odpowiedziałam. Skąd ludzie mają wiedzieć, czy robią to, co należy? Prawda wychodzi na jaw dopiero wtedy, gdy jest już za późno na jakiegokolwiek zmiany.

Miriam mówiła zaś dalej:

– Wiesz, Paige, czasem wydaje się nam, że dobrze wiemy, czego chcą albo czego potrzebują inni. Tyle, że potem... – westchnęła, wyciągając spod lady ładną papeterię z wieczkiem z przezroczystego plastiku – ...odkrywamy, że się myliliśmy. Odłożyłam to dla jednego ze stałych klientów, byłam pewna, że znam jego oczekiwania, a jednak wcale nie przypadło mu do gustu.

– Szkoda. Ale jestem pewna, że komuś się spodoba.

Wcale się nie dziwiłam, że facet nie chciał tej papeterii. Była za bardzo kobieca, bo na papierze wytłoczono kwiatki o złotych konturach.

– Może tobie? – Miriam spojrzała na mnie uważnie.

Odłożyłam kwiecisty papier i wepchnęłam dłonie w tylne kieszenie, rozglądając się przy tym po sklepie, a na koniec odparłam:

– To nie w moim stylu.

Miriam zaśmiała się i schowała pudełko. Pomalowała paznokcie na szkarłatny kolor, w tym samym odcieniu co szminka. Nosłam w sobie cichą, za to gorącą nadzieję na to, że w wieku Miriam będę miała przynajmniej połowę jej klasy. Cholera, już teraz chciałam być w pięćdziesięciu procentach tak stylowa jak ona.

– Może więc znajdziesz coś dla siebie? Mam kilka nowych notatników oprawionych w zamsz, z kartkami o złożonych brzegach, przewiązanych wstążką. – Kusicielka Miriam wskazała witrynę. – Chodź, zobaczysz.

– Boże, w ogóle nie masz serca – marudziłam żartobliwie. – Przecież wiesz, że wystarczy mi tylko pokazać... Och. Och...

– Ładne, prawda?

– Tak. – Tyle że nie patrzyłam na notatniki, ale na czerwone lakierowane pudełko z pokrywką, w której wstążki zastąpiły haczyki. Polerowane drewno zdobiła fioletowo-niebieska ważka. – Co to? – Pogłaskałam gładkie wieczko i otworzyłam pudełko. W środku, na czarnym aksamicie, spoczywało niewielkie gliniane naczynie, a obok pojemniczek z czerwonym atramentem i komplet pędzelków o drewnianych uchwytych.

– Chiński zestaw do kaligrafii. – Miriam obesła ładę, żeby popatrzeć razem ze mną. – Ten jest wyjątkowy, zawiera nie tylko pędzelki i atrament, ale również papier i zestaw wiecznych piór.

Gdy uniosła dół pudełka, zobaczyłam stosik przewiązanego karmazynową wstążką papieru i komplet piór o mosiężnych stalówkach w woreczku z czerwonego aksamitu.

– Wspaniały. – Schowałam za siebie ręce, chociaż marzyłam o tym, żeby dotknąć tych piór, atramentu i papieru.

– Właśnie tego potrzebujesz, prawda? – Miriam wróciła za ładę i przysiadła na taborecie. – Wprost idealne dla ciebie.

– Tak... – Sprawdziłam cenę i stanowczym ruchem zamknęłam wieczko. – Ale nie dzisiaj.

– Nie? Dlaczego dobrze wiesz, czego potrzebują inni, ale nie ty sama? Straszna szkoda, Paige. Powinnaś je kupić.

Cudowny komplet wart był tyle, ile wynosił mój comiesięczny rachunek za telefon. Pokręciłam głową, po czym spojrzałam na Miriam i spytałam:

– Dlaczego jesteś przekonana, że wiem, czego potrzeba innym? To dosyć śmiały wniosek.

Rozerwała torebeczkę miętówek i włożyła jedną do ust. Ssała ją chwilę, a następnie odparła:

– Jesteś dobrą klientką. Widziałam wiele razy, jak kupujesz prezenty, także jakieś drobiazgi dla siebie. Pochlebiam sobie, że znam się na ludziach i wiem, czego potrzebują. Niby dlaczego trzymam takie paskudztwa na półkach? Bo ludzie chcą je kupować.

Powiodłam wzrokiem za jej spojrzeniem i ujrzałam jeszcze więcej półek z porcelanowymi kłanami.

– To, że czegoś chcesz, wcale jeszcze nie znaczy, że powinnaś to mieć – oznajmiłam.

– Ujęłabym to inaczej, Paige. To, że czegoś chcesz, wcale jeszcze nie znaczy, że powinnaś sobie tego odmawiać – pogodnie skontrowała Miriam. – Kup to pudełko. Zasłużyłaś na nie.

– Ale nie wiem, co pisać na tej papeterii!

– Listy do ukochanego.

– Nie mam ukochanego. – Znowu pokręciłam głową. – Wybacz, Miriam, nic z tego. Może kiedy indziej.

– Dobrze, dobrze. – Westchnęła ciężko, patrząc na mnie wymownie. – Odmów sobie przyjemności, odmów sobie czegoś ładnego. Myślisz, że właśnie tego ci trzeba?

– Myślę, że muszę zapłacić rachunki, zanim będzie mnie stać na luksusy – odpowiedziałam przytomnie. – Tak właśnie myślę.

– No tak... Jesteś rozważna, praktyczna, niezbyt romantyczna. Cała ty.

– I wszystko to wywnioskowałaś z papeterii, którą tu kupiłam? – Oparłam ręce na biodrach. – Daj spokój.

Miriam wzruszyła ramionami. Bez trudu mogłam sobie wyobrazić, jaka była w młodości. Uparta, pełna gracji, piękna...

– Wywnioskowałaś to z papeterii, której tu nie kupiłaś. – Znow popatrzyła na mnie znacząco.

– Kiedy będziesz staruszką, staniesz się równie mądra jak ja.

– Mam nadzieję. – No cóż, rozbawiła mnie.

– A ja mam nadzieję, że wrócisz i kupisz ten zestaw. Jest ci pisany, Paige.

– Na pewno o tym pomyślę. Dobrze? Umowa stoi?

– Jeśli kupisz ten zestaw, gwarantuję ci, że znajdziesz kogoś, do kogo warto będzie coś na nim napisać – oświadczyła Miriam.